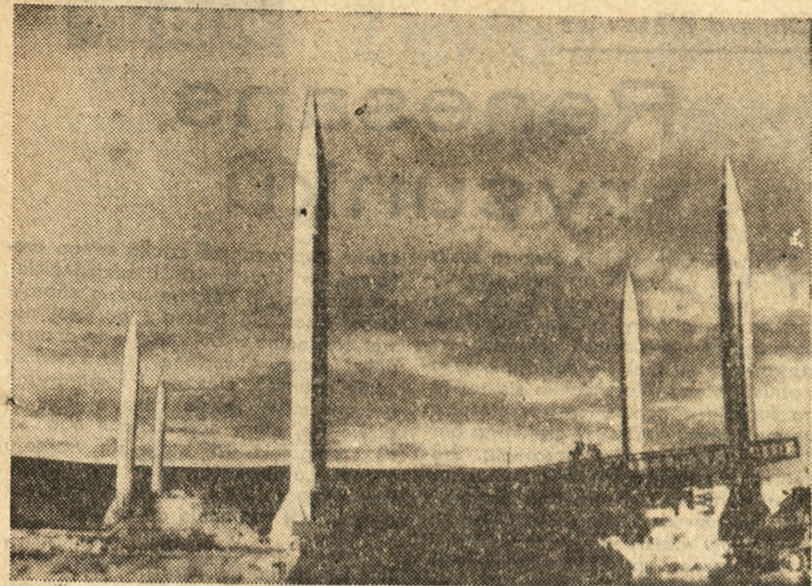




„...dzięki ogromnym osiągnięciom rodzimej ekonomiki, nauki i techniki — zaczęło się wyposażanie radzieckich sił zbrojnych w broń raketowo-jądrową...”

Fot. — CAF

I. Pawłowski

generał armii
wiceminister obrony ZSRR

POTĘGA WOJSK LĄDOWYCH

Pół wieku Armii Radzieckiej

W latach powojennych radzieckie wojska lądowe rozwijały się w oparciu o uogólnianie i badanie doświadczeń minionej wojny, stale unowocześniając przy tym klasyczne typy uzbrojenia i wyposażenia. Od pewnego momentu jednak — dzięki ogromnym osiągnięciom rodzimej ekonomiki, nauki i techniki — zaczęło się wyposażanie radzieckich sił zbrojnych w broń raketowo-jądrową.

Poczynając od roku 1953 również w rozwoju wojsk lądowych zaczął się nowy etap. Rozpoczęto szkolenie w zakresie prowadzenia wojny przy zastosowaniu broni jądrowej. Wojska lądowe otrzymały rakietę operacyjno-taktyczną, zmodyfikowaną średnio i ciężko czołgi, nowe systemy artylerii klasycznej i raketowej, samobieżne działa przeciwlotnicze, nowoczesniejsze środki dowodzenia. Zrealizowano pełną motoryzację wojsk.

W wojskach lądowych nie ma już piechoty w klasycznym sensie tego słowa, tzn. uzbrojonej masy ludzi, poruszających się pieszo. Dziś wojska zmechanizowane, wykorzystując wielką siłę ogniową i uderzeniową rakiet i artylerii, techniki pancernej i automatycznej broni strzeleckiej, prowadzą ataki nadzwyczaj szybko w najtrudniejszych terenach i sytuacjach, w dowolnej porze roku i doby.

Obraz wojsk lądowych zmienił się; nowe środki walki zwiększyły ich samodzielną siłę ognia, a także zdolność manewrowania i ruchliwość. Wojska lądowe są dziś w stanie wykonywać bardzo długie marsze, zarówno po drogach, jak i bezdrożach. Są one ponadto tak zorganizowane aby miały samodzielną dowodzenia i stałą gotowość bojową.

Dalszy rozwój sił i środków obrony państwa radzieckiego doprowadził do stworzenia wojsk raketowych przeznaczenia strategicznego. Nie umniejsza to jednak roli wojsk lądowych, które — jak przedtem —

pozostają ważną częścią sił zbrojnych ZSRR.

Operacyjno-taktyczne wojska raketowe, wyposażone w broń jądrową; wojska pancernie posiadające czołgi wysokiej klasy z silną obroną przeciwpancerną i artylerią; wojska zmechanizowane, dysponujące opancerzonymi transporterami, czołgami i artylerią; wojska powietrzno-desantowe przygotowane do prowadzenia samodzielnych działań bojowych w oderwaniu od frontu; wojska inżynierii i wojska łączności z ich nowoczesniejszą techniką — wszystkie te rodzaje wojsk są oczywiście jakościowo różne od wojsk z okresu Wojny Narodowej i pierwszych lat powojennych. Dzisiejsze wojska lądowe radzieckich sił zbrojnych są zdolne do pomyślnego prowadzenia działań bojowych przeciw każdemu nieprzyjacielowi — zarówno w warunkach masowego użycia broni jądrowej, jak i przy założeniu, że broń ta nie znajdzie zastosowania.

Wojska lądowe zademonstrowały swą sprawność i potęgę na przeprowadzonych jesienią 1967 roku wielkich manewrach „Dniepr”. Manewry te udowodniły, że dzięki wysokiemu poziomowi wyszkolenia bojowego żołnierzy i niezawodności sprzętu, są one zdolne do wykonywania długich i szybkich marszów i pokonywania rozległych stref i przeszkód. Służą do tego czołgi-amfibie, transportery opancerzone i inne środki transportu — w tym czołgi, poruszające się po dnie zbiorników wodnych. Wojska lądowe ZSRR są zdolne do forsowania z marszu wielkich przeszkód wodnych, prowadzenia szybkich natarć, realizowania manewrów powietrznych, a także do przechwytywania siłami desantu powietrznego obiektów na tyłach przeciwnika. Technika i stopień wyszkolenia wojsk radzieckich zapewniają możliwość przygotowania w krótkim czasie skutecznej i aktywnej obrony, a także rozgromienia atakującego nieprzyjaciela.

Panuje u nas ugruntowana latami opinia, że przemysł Poznania jest nowy, a więc — nowoczesny. Wywodzi się ona z tego, że większość istniejących w mieście fabryk stanęło dopiero po wojnie, a zakłady stare, takie jak „Cegielski”, „Stomil”, „Wiepofama” — są stale rozbudowywane i odnawiane. Zafascynowani imponującym dorobkiem ogólnym, jakoś niechętnie dopuszczamy do siebie myśli o tym, że jeśli w obecnych czasach życie ludzkie się wydłuża, to życie techniki skraca i to, co jeszcze 10 lat temu mogło uchodzić za nowe, dzisiaj wcale nowym nie jest.

Te, niezbyt przyjemną dla nas, rzeczywistość potwierdza statystyka. Z „Rocznika Statystycznego 1967”, wynika bowiem, że jeśli w roku 1962 ogólny stopień zużycia środków trwałych przemysłu Poznania sięgał 40 procent, to w roku 1966 wyniósł 41,4 procent. Różnica niewielka, lecz znamienita. Mimo niemałych przecieży inwestycji, w ciągu 4 lat nie udało się powstrzymać procesu starzenia się przemysłu w mieście.

Wymowne jest przy tym tempo starzenia się poszczególnych składników przemysłowego majątku miasta. Otóż w latach 1962—66 stopień zużycia budynków i budowli zwiększył się tylko o 0,2 procent (z 29,9 do 30,1), natomiast maszyn i urządzeń — o 1,9 procent (z 52,6 do 54,5), a środków transportowych nawet o 4,5 procent (z 54,2 do 58,7). Oznacza to, że nadal lożymy więcej pieniędzy na zabudowania niż na maszyny.

Przeciętne zużycie środków trwałych w przemyśle Poznania było w 1966 roku o 0,3 procenta większe niż średnio w kraju; budynków i budowli przemysłowych — 3,3 procent mniejsze, maszyn i urządzeń o 3,3 procent większe a środków transportowych — o 15,2 procent większe niż średnio w kraju. Spośród miast wydzielonych, tylko przemysł Wrocławia i Łodzi jest w nieco gorszym stanie niż nasz. W pozostałych miastach — stan przemysłu jest dużo lepszy.

Porównania prowadzą do refleksji. Poznań zaliczony jest do rejonów o niedostatecznych zasobach siły roboczej. Od wielu lat prowadzi się kampanię na rzecz oszczędzania siły żywej, namawiając kierownictwa fabryk do maksymalnego mechanizowania i automatyzowania procesów wytwórczych. W lutym 1965 roku Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów podjął nawet uchwałę, zalecając resortom, by swoje fabryki w Poznaniu zapoatrwały w nowoczesny, wysoko wydajny sprzęt. Niestety, rezultaty nie są zadowalające.

W czerwcu 1966 roku, w referacie przedstawionym na plenarnym posiedzeniu Komitetu Wojewódz-

Piotr Choćnacki

Jak to jest z nowoczesnością?

kiego partii, poświęconemu węzłowym problemom inwestycyjnym bieżącej 5-latkii stwierdzono, że planowane tempo modernizacji przemysłu Poznania jest stanowczo za małe. Do roku 1970 udział nakładów na ten cel stanowić ma bowiem zaledwie 2,6 procent (!) ogółu wydatków inwestycyjnych na rozwój przemysłu kluczowego w mieście (w ubiegłym 5-lacie stanowiły one 2,9 procent ogółu nakładów na przemysł, a więc także mało). Plenum zaleciło więc Prezydium Rady Narodowej Poznania, by wykorzystało swój wpływ na fabryki i spowodowało zwiększenie tempa modernizacji w planach rocznych.

W roku ubiegłym, wertując wnioski powołanych po VII Plenum KC PZPR zakładowych komisji usprawniających produkcję, byliśmy niemal przekonani, że nastąpi przełom w podejściu do modernizacji, a resorty i zjednoczenia, pod naciskiem wymowy argumentów, nie poskapią grosza na kupno lepszych maszyn na mechanizację i automatyzację produkcji.

Z zainteresowaniem przeto sięgnęliśmy do materiałów z sesji

O przemyśle poznajskim dyskusyjnie

budżetowej Rady Narodowej Poznania na rok 1968. Inwestycje przemysłu kluczowego miasta wyniosą w tym roku około 700 mln. zł, ale przeznaczone są głównie na budowę nowej „Polfy” oraz Zakładów Maszyn i Urządzeń Chemicznych, na dalszą rozbudowę „Cegielskiego”, ZNTK i kilku innych fabryk. 46 procent wszystkich nakładów pochłona roboty budowlano-montażowe. Chyba drugie tyle maszyny i urządzenia dla tych nowych i rozbudowywanych fabryk. Na modernizację pozostałych znów zostaje niewiele.

Trudno tu winić Radę, że tak się stało. Nie ona przecież decyduje o podziale środków na inwestycje w resortach i zjednoczeniach przemysłu kluczowego. Lecz z drugiej strony trudno przypuścić, że podział ten odbywa się bez określonych sugestii zainteresowanych kierownictw poznajskich fabryk. Można stąd wysunąć wniosek, że presja zakładów na resorty i zjednoczenia wciąż jeszcze koncentruje się wokół zdobycia środków nie

tylko na zakup maszyn, ile na stawianie murów.

Skutki takiej polityki zaczynają niepokoić.

W roku 1965, w uchodzącym za najbardziej nowoczesny przemysł elektromaszynowy Poznań, zaledwie 0,4 procent wszystkich robót wykonywano w sposób zautomatyzowany, a aż 49,1 procent — ręcznie. I w ciągu ubiegłych 2 lat niewiele zmieniło się w tej dziedzinie na lepsze. Trochę ruszyły naprzód „Teletra”, „Cegielski”, „Pomet”, „Centra”, ale w stopniu niewystarczającym.

Przemysł ten, zgodnie z uchwałą IV Zjazdu partii ma dać, do 1970 roku 60 procent wszystkich wyrobów w grupie „A”, czyli na światowym poziomie. Wiele wskazuje na to, że w trzecim roku 5-latkii, Poznań jest mocno opóźniony w realizacji tego zadania. Mówił o tym na niedawnym spotkaniu Egzekutywy KW PZPR z aktywnym technicznym NOT — I sekretarz KW, Jan Szydłak, domagając się od inżynierów, by wreszcie spojrzeli prawdzie w oczy. Na marginesie, warto zauważyć, że w Poznaniu wielu inżynierów jest dyrektorami fabryk. Mogą i powinni więc użyć swej władzy dla przyspieszenia technicznej rekonstrukcji miejskiego przemysłu.

Obok dominującego (40,5 procent) w strukturze przemysłowej Poznania przemysłu ciężkiego i elektromaszynowego, mamy także spory przemysł spożywczy (23,1) i chemiczny (12,6 procent). Tam także postęp techniczny rodzi się w bólach. Także notuje się duże opóźnienia w modernizacji zakładów i unowocześnianiu wyrobów. W trzecim roku 5-latkii mamy więc taką sytuację, że Poznań, w ogólnym tempie rozwoju przemysłu Wielkopolski, zaczyna niepokojąco pozostawać w tyle.

Najwyraźniej uwidacznia się to na przykładzie wydajności pracy. Według planu 5-letniego, 62 procent całego przyrostu produkcji powinniśmy uzyskać w Poznaniu drogą wzrostu wydajności. Tymczasem w pierwszym roku planu ten wskaźnik ukształtował się tylko na poziomie 54 procent, a w drugim — spadł do 51 procent. Natomiast już w końcu ubiegłego roku osiągnęliśmy wskaźnik zatrudnienia planowany dopiero na koniec roku 1970!

Tak więc nie mówmy o tym, że poznajski przemysł jest nowy, ergo-nowoczesny. Bo jest to opinia uspokajająca i demobilizująca. Bo Poznaniowi potrzebna jest pełna mobilizacja wszystkich sił — szczególnie inżynierów, techników, ekonomistów i racjonalizatorów — dla utrzymania i wzmocnienia rangi naszego miasta na gospodarczej mapie kraju.

Kierownik — jaki powinien być kierownik w powszednim rozumieniu tego określenia, a więc zwierzchnik w ogóle — to jeden z tematów żelaznego repertuaru towarzyskich rozmów. Niektórzy chcieliby, żeby ich szef — jak mawiają — był dobry; „dobro” to rozumieją przy tym w sposób swoisty i zupełnie prywatny.

Ich zdaniem kierownik powinien być koleżeński, to znaczy nie obciążać nikogo nadmiernie pracą i mieć demokratyczny sposób bycia, to znaczy nie egzekwować uparcie polecenia. Poza tym powinien umieć stworzyć dobrą atmosferę, a więc — nie odmawiać wypicia, gdy mu to ktoś proponuje, nie odmawiać też tzw. postawienia, gdy i to ktoś proponuje.

Kierownik zobowiązany jest walczyć o premie, nagrody, odznaczenia, dyplomy i awanse dla podwładnych, co nie oznacza, że sam musi w podobny sposób być wyróżniany. Powinien być ludzki, to znaczy nie czepiać się, gdy ktoś podejmuje pracę z opóźnieniem lub zapomni do niej przez 2 dni przybyć, udzielać wszystkim urlopów w lipcu i sierpniu, przy mykać oko, gdy przy warsztacie praccy pokrzepiają się czymś mocnym.

A w ogóle, żeby zasłużyć na miano „kierownika wzorowego” należy

Wiesław Porzycki

Kierownik — istota nijaka?

bezwzględnie i zawsze reprezentować stanowisko podwładnych, nie dając w żadnym przypadku racji władzom zwierzchnim, jest to bowiem niewybaczalne wazelinierstwo...

Powiecie, że przesadziłem. Może. Ale chyba — w odniesieniu do niektórych środowisk — nie tak znowu bardzo. Fakt — faktem, iż po zycia kierownika (w szerokim rozumieniu tego określenia) przez długie lata traktowana była z dozą dwiśtości. Kierownik, obdarzany przez władze państwowe, czy polityczne, zaufaniem i stanowiskiem — jakże często zarazem stawał się przysłówką ofiarą losu, zmuszoną przyjmować cież i ze strony zwierzchnictwa, i ze strony podwładnych, nie mówiąc o dowoli używających sobie na nim satyrykach.

Nie działało to bez winy samych zainteresowanych. Kierowników na wzór tego z „podwieczorku przy mikrofonie” mieliśmy na pęczki. Dziś inaczej. Obecnie obowiązują wobec kadr kierowniczych o wie-

le większe, a zarazem bardziej sprecyzowane wymagania. Złożony charakter rozwoju naszego społeczeństwa i naszego kraju, nowa technika, ogólny stały wzrost poziomu wiedzy i kwalifikacji zawodowych obywateli — wszystko to determinuje potrzebę poruczenia funkcji kierowniczych ludziom wszechstronnie przygotowanym. Z tego zdają sobie coraz powszechniej sprawę także szeregowi pracownicy.

Nie przypadkiem przeto dyskutuje się ostatnio nad „modelem” kierownika idealnego. I chociaż ideałów ucieleśnionych raczej nie ma, nie znaczy to, by nie należało pewnymi wzorcami się posługiwać. Zatem próbujemy zgrupować cechy i zalety, które powinien reprezentować w naszych warunkach ustrojowych człowiek na kierowniczym stanowisku.

W doborze kierowniczych kadr — powiedział niedawno Zenon Kliszko — należy kierować się kryteriami wykształcenia, doświadczenia w pracy i walorami ideowo-moralnymi. Se-

kretny Komitet Centralny PZPR zawarł w tej lakonicznej formule kwintesencję polityki personalnej partii. Polityki personalnej, którą gołowy jest akceptować każdy rozsądny człowiek pracy.

Socjalistyczny kierownik powinien łączyć polityczne zaangażowanie z dużą wiedzą fachową, wykazywać wielość inicjatyw, zdolności organizatorskich i przejawiać oznaki gospodarności. Kierownik nowego typu powinien dbać o uzupełnianie swych wiadomości, otaczać się ludźmi rzutkimi, mającymi własne zdanie, cennionymi w zawodzie, radzić się ekspertów. Tylko bowiem przez stworzenie warunków wyzwalających inwencje jednostek, przyjmowanie uzasadnionego ryzyka, umiejętne podejmowanie samodzielnych decyzji, atmosferę współodpowiedzialności kolektywu — wiedzie droga do postępu.

Współcześni kierownicy to ludzie wymagający najpierw wobec siebie — potem wobec innych. Wymagający, lecz życzliwi. Bez tzw. humorów,

umiejący nawiązywać kontakty z zespołem pracowniczym, koleżeński, a zarazem rzetelnie i konsekwentnie egzekwujący obowiązki. Sprawiedliwi przy ocenach — wyżsi ponad kumoterskie, czy małostkowe, sympatie lub antypatie. Dbający o wychowywanie następców, pełni poczucia osobistej odpowiedzialności za powierzone im funkcje.

Jest oczywiste, że kierownika musi cechować wzorowa uczciwość, ofiarność w wykonywaniu zadań, twórczy niepokój związany z możliwościami doskonalenia pracy, rzetelny stosunek do krytyki, umiejętność wyciągania trafnych wniosków z rzeczowych postulatów i spostrzeżeń podwładnych.

Była już o tym mowa, że kierownikowi idealnych trzeba szukać ze świecą. Nie znaczy to, by uznać za niecelowe próby zdania sobie sprawy z tego, jakie w praktyce powinny być ich dobre decyzje, kryteria, osobiste cechy, predyspozycje. Nie ma tych elementów, to fakt. Z pewnością — zależnie od środowiska — niektóre z nich mogą mieć pierwszorzędne znaczenie, inne — charakter drugorzędny. Niemniej każdy kandydat na kierownicze stanowisko powinien, by zasłużyć na

Dokończenie na str. 2

Przepraszam, czy można...

Temat stary, jak... młodość. Tyle, że w ostatnich czasach nabrał rumieńców i stał się przedmiotem najróżnorodniejszych, szczególnie ożywionych dyskusji, projektów, zobowiązań i rozmów prywatnych. O tym: „Kto winien? Szkoła czy dom?” — debatuje się we wszystkich, w jakikolwiek sposób z wychowywaniem młodzieży związanych instytucjach i organizacjach a także oczywiście w gronie rodzinnym każdego ucznia.

Problem znany jest, niestety, nie tylko obu zainteresowanym „obozom” lecz także tym, którzy stanowią przedmiot sporu tzn. uczniom. Nikogo chyba nie trzeba przekonywać o tym, że i tu tkwi źródło wielu konfliktów wewnętrznych świata młodych i najmłodszych. A nawet maluchów. Jeśli bowiem siedmioletni brzdąc w szkole słyszy „wcale cię matka nie wychowała, zaś w domu: „czego ta pani znowu chce od ciebie?” — w głowie jego powstaje niezły chaos, zaś w psychice — rysy, których potem wcale niełatwo wygładzić.

Szkoła oskarża rodziców o to, że nie potrafili wpoić swym dzieciom niezbędnej porcji zasad wychowawczych, gwarantujących bezkonfliktowe w miarę kontaktowanie się z młodym osobnikiem, uczyszczającym do szkoły — rodzice zaś mają pretensje do szkoły i jej wychowawców przede wszystkim o zbyt schematyczne traktowanie klasy jako całości, bez uwzględnienia osobowości poszczególnych uczniów, o rygor nie dopuszczający obiektywnych usprawiedliwień (np. trudności z nabywaniem tego czy owego artykułu na rynku pociągają za sobą zły stopień), czy wreszcie o to, że szkoła ciągle jeszcze na ogół ogranicza się do lekcji — zbyt mało interesując się tzw. zajęciami pozalekcyjnymi dzieci, zwłaszcza młodszych, które są często pozbawione opieki (rodzice pracują).

Każda ze stron zgadza się co do tego, iż w wyniku wyżej wymienionych — oraz wielu innych — braków w dziedzinie wychowania, nasze dzieci i mło-

dzież stanowią zbiorowisko raczej... trudne, z którym zarówno jedna jak i druga strona ma kłopoty.

Smutek i trwoga ogarniają uczestników rozlicznych rozmów rodzinnych a także dysput na publicznych konferencjach, poświęconych powyższemu problemowi. A to w Kuratorium, a to w Związku Nauczycielstwa Polskiego, a to na zebraniach rodzicielskich, w ZHP, PCK, wreszcie MO czy Sądzie dla Nieletnich. Na wszystkich tych konferencjach mówi się wprawdzie oficjalnie o tzw. wspólnym froncie wychowawczym, o sojusznikach szkoły, o obowiązku utrzymywania stałego kontaktu pomiędzy rodzicami a wychowawcami, pomiędzy szkołą a środowiskiem w jakim żyje uczeń. Niestety, w

Wanda Chila

Ping-pong szkoła-dom

praktyce o tych pięknych hasłach na ogół się zapomina. A jeśli czołowiek popróbuje zgłębić intymniej i prywatniej poglądy obu stron na wychowanie, zawsze natknie się jak na mur na wszechobecne: „kto bardziej winien?”

Odbić piłeczkę każda strona do skonału potrafi. Rzecz tylko w tym, jak długo można się tak bać, czy nie szkoda na to czasu i czy efekty tego odbijania nie wpłyną fatalnie na tych, o których dobro właśnie najbardziej chodzi.

Wiadomo, że matki i ojcowie są zapracowani i nie ma ich przez większość dnia w domu. Ze dziećmi pozostawione jest na ogół samo sobie, że opieka ogranicza się do podania jedzenia, wyprania bielizny i kupna butów. Że na wychowanie przeciętna matka przeznacza parę minut, lub ani jednej.

Wiadomo również, że nauczyciel przeciążony jest pracą zawodową, obowiązkiem doszkalania, zajęciami społecznymi, że do półinternatów wychowawców można szukać ze świecą (godziny gorzej płatne, pracochłonne). Ze nauczycielstwo — to zawód sfeminizowany, a nauczycielka to też matka, na którą w domu czeka jej własne dziecko. Wszystko to są tzw. prawdy oczywiste i nie ma chyba potrzeby kłaść ich na szalę i próbować przeważać.

Czy ciągłe wywiekanie i podkreślanie tych spraw w domu i w szkole sprzyja umacnianiu porozumienia? Czy pomagają w zdobywaniu sojuszników szkoły? Czy ułatwiają rodzicom zadania wychowawcze? Na pewno nie.

Dysputy i licytacja dyskwalifikująca wzajemny wkład pracy problemu nie rozwiązują. Z metodą przetrwania ciężaru odpowiedzi działalności trzeba jak najszybciej skończyć. Czym ją natomiast zastąpić? Ba...

Znalezionej najwłaściwszych, najbardziej efektywnych form konkretnej współpracy pomiędzy szkołą a domem na polu wychowawczym, jest sztuka ani łatwa, ani mała. Wiadomo jednak na pewno, że taki sojusz opierać się musi bezwzględnie na wzajemnej życzliwości i przekonaniu o dobrej woli zarówno jednej jak i drugiej strony. Założmy, że — przeciętnie biorąc — obie strony ją mają. Nauczyciele mają ponadto wiedzę pedagogiczną, płynącą z różnic z wykształcenia, jak i po-wołania. A także doświadczenia. I jeśli nawet — powiedzmy otwar-cie — z tym powołaniem różnie bywa, to i tak przeciętny nauczyciel ma znacznie więcej wiadomości o tym jak zareagować na karygodny wybrzyk, jak podejść do nieśmiałego dziecka, jak poskromić rozbrzykaną — niż przeciętny ojciec czy matka. Istnieją w naszym mieście i województwie szkoły wiodące w zakresie wychowania, wypracowujące nowe metody w tej dziedzinie. Może by sięgnąć śmiało i powszechniej do ich doświadczeń i osiągnięć?

Będzie to na pewno pożyteczniejsze niż wzajemne podejrzewanie się o spychotechnikę i wygodnictwo.

Olgierd Błazewicz

PLASTYKA

Renesans rysunku

Prawie równocześnie otwarte zostały w galeriach Arsenalu trzy wystawy rysunku oraz jedna malarstwa: Jana Góry z Gdańska. Renesans rysunku w naszych salonach wystawowych dokonał się dosłownie w ostatnich latach. Ale zmieniła się też jego funkcja z pomocniczej w stosunku do malarstwa, rzeźby czy grafiki na bardziej autonomiczną, samodzielną. Zródel tego zainteresowania starą dyscypliną, uprawianą jeszcze parę lat temu tylko marginesowo, jest co najmniej kilka. Przede wszystkim artyści dostrzegli w niej szansę uprawiania sztuki najbardziej spontanicznej, osobistej, bezpośredniej bez odwoływania się do pośredników: klocka graficznego i całej malarzkiej kuchni. Może zadecydował o tym też sam nawrót do sztuki przedmiotowej i ekspresyjnej uprawianej z wyobraźnią, w której rysunek odgrywa przecież większą rolę niż dotąd, bez którego w plastyce przedmiotowej nie ma właściwie niczego: ani grafiki, ani rzeźby, ani malarstwa. Równocześnie uległ rysunek jeszcze jednej metamorfizie. Stał się środkiem służącym do przekazywania przede wszystkim treści literackich. Cała jego siła sprowadza się dziś właściwie do tworzenia nastroju, narracji, metafor — literackiej pointy. Pozbawiony tego ogranicza się właśnie do szkicu roboczego do jakiejś większej całości, do starych funkcji służebnych wobec malarstwa.

Spośród trzech wystaw rysunku największą uwagę zwraca obecnie w Arsenale pokaz prac Andrzeja Jeziorkowskiego. Rysunek jego wywodzi się z bezpośredniego kontaktu z naturą i ze starych tradycji przeniesiony na grunt Poznania przez mistrza tej dyscypliny, nieżyjącego już dziś malarza, Hipolita Polańskiego. Pewne analogie z twórczością poprzednika nie są jednak w stanie podważyć, przynajmniej w moich oczach, skromnej i nieefektywnej, ale przecież autentycznej sztuki Jeziorkowskiego. Zdecydował się on zresztą pokazać swoje prace w momencie, w którym zaczął już odchodzić od kręgu

spraw inspirowanych sztuką swego profesora, w stronę sztuki wizjonerskiej, uproszczonej, o całkiem innym charakterze. Osobiście bliższe i bardziej nawet oryginalne wydają mi się te poprzednie prace, tworzone bezpośrednio „przy naturze”. Liryczne i romantyczne pejzaże mówiące nie tylko o lesie, o przyrodzie, ale i odsłaniające nam to, co szczególnie dziś staje się ważne i cenne — osobowość artystyczną autora. Prezentujące jakiś określony stosunek do przyrody i w ogóle do świata.

Rysunki Hanny Grygiel i Władysława Wróblewskiego nie mieszczą się już natomiast całkowicie w kategoriach autonomicznego rysunku — sztuki samodzielnej — do wystawiania. Prace Hanny Grygiel koczają się przede wszystkim z ilustracją. Oczywiście dobrą ilustracją, nie tą tradycyjną — opisową. Cały ich urok, bo niewątpliwie są to prace z jakimś wdziękiem i urokiem, polega na ich literackości, na wplecionej w nie anegdocie. Mniej natomiast na warsztacie. Autorka lekceważy tu warsztat, nazbyt go prymitywizuje. Robi to zresztą świadomie. Ale nie zawsze na tyle sprawnie, by nie mieć wątpliwości, w którym miejscu kończy się stylizacja, zabawa, a zaczyna brak warsztatu.

Prace Władysława Wróblewskiego także de facto bliskie są formom ilustracji. Czuje on architekturę, umie rysować. Tylko w porównaniu ze swymi konkurentami na wystawie nie wiele ma do powiedzenia swymi pracami. Bardziej opisuje zjawiska niż je interpretuje.

Malarstwo plastyka sopockiego Jana Góry, muszę przyznać, trochę mnie rozczarowało. Góra jest dobrym malarzem, z dużą kulturą artystyczną i warsztatem. Malarstwo jego źle jednak znosi ciężar dużej indywidualnej wystawy. W wielkiej masie, staje się monotonna. Jest bardzo mało zróżnicowane kompozycyjnie. W mniejszym zestawie 5-6 prac, tak jak widziałem je na dwóch kolejnych wystawach młodych w Sopocie, prezentowało się w każdym razie znacznie bardziej korzystnie niż w Poznaniu.

Kierownik - istota nijaka?

Dokończenie ze str. 1

miano nowoczesnego szefa, odpowiadać choćby części wyliczonych tu wymogów.

Nie wydaje się to nierealne, zwłaszcza, iż mamy w Polsce Ludowej nieporównanie więcej niż przed wojną fachowców i specjalistów wszelkich zawodów. Kształcimy na przykład obecnie co roku więcej ludzi z wyższym wykształceniem technicznym niż w ogóle liczyła ich Polska przedwojenna. Co więcej, ponad 90 procent dzisiejszej inteligencji polskiej stanowią ludzie wychowani,

wykształceni i ukształtowani ideowo za czasów władzy ludowej. Wielkim rezerwuarem kadr kierowniczych są szeregi PZPR.

Ale stawiając kierownikom liczne i niełatwe do spełnienia wymagania — wciąż jeszcze nazbyt nieśmiało umacnia się zasadę jednoosobowego kierownictwa. A przecież w praktyce kolektyw ludzi może jedynie ponosić odpowiedzialność moralną i polityczną; odpowiedzialność materialna i prawna spada właściwie na sygnalizującego decyzję szefa (biura, fabryki, instytucji) i na nim też w ostatecz-

nych rachunku skupiają się wszelkie, wynikające z dokonanych posunięć, konsekwencje. Zastanawiano się nad tym problemem ostatnio w kołach partyjnych Śląska, przy czym jedna z konkluzji brzmiała: podstawowe organy PZPR powinny troszczyć się o autorytet kierowników, o zapewnienie im pełnej swobody decyzji, bo w warunkach nowoczesnej gospodarki, angażującej liczne zespoły ludzkie i wielkie środki materialne — realizowanie zasady jednoosobowego kierownictwa jest nieodzowne.

Minął bezpowrotnie czas kierowników byle jakich, czy nijakich. Zasada: właściwy człowiek na właściwym miejscu — idzie w cenę.

WIESŁAW PORZYCKI

Alfonso Sastre o życiu kulturalnym w Hiszpanii

„Sowietskaja Kultura” opublikowała wiadomość o znanym dramaturgim hiszpańskim Alfonso Sastre.

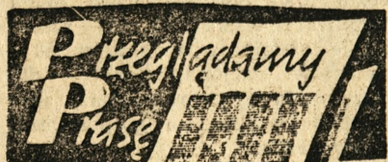
— Kultura masowa wyrządza masową szkodę — stwierdził na wstępie pisarz. Brzmi to jak paradoks ale pozostaje faktem. Hiszpania, według danych statystycznych, zajmuje jedno z pierwszych miejsc pod względem liczby instytucji kulturalnych, szczególnie jeśli chodzi o sale filmowe. Jednak ogromna liczba kin i widzów nie może ukryć opłakanego stanu kultury. Kraj nasz, który w ubiegłych wiekach wsławił się w dziedzinie teatru i malarstwa, żyje obecnie jak w letargicznym śnie.

Dramaturg podał jeszcze jeden paradoksalny przykład z życia kulturalnego współczesnej Hiszpanii. W Madrycie jest przeszło 20 teatrów, które pracują cały rok bez przerwy. Odbijają się nawet po dwa spektakle dziennie. Jak wygląda repertuar tych teatrów? Wystawiają głównie francuskie farsy i wodewile.

Twórczość pisarzy, artystów, reżyserów, która zawiera chociażby skromne elementy krytyki społecznej jest po prostu zabraniana. Alfonso Sastre razem z innymi twórcami o poglądach postępowych zorganizował zespół pn. „Teatr oddziaływania społecznego”. Władze frankistowskie nakazały rozwiązanie zespołu.

Mimo wszystko pisarze hiszpańscy nie rezygnują z walki. Znajdują też poparcie sił postępowych kraju. Dobrze została przyjęta sztuka młodego dramaturga Laurego Olmo „Koszula”, w której autor poruszył jeden z najbardziej aktualnych problemów współczesnej Hiszpanii — emigrację młodych robotników, szczególnie do NRF. Interesująca jest również twórczość innego młodego dramaturga Rodriga Budeda. Jego sztuka „Nora” poświęcona jest życiu nędzarzy mieszkających w miedzykuchennych slumsach.

Obecnie — mówi Sastre — kończy się utwór, który nazwał „Epizody narodowe” nawiązujące do dzieł naszego klasyka Pereza Galdosa. Ten dramatyczny epos składać się będzie z 14 epizodów z dziejów Hiszpanii. Akcja ostatniego epizodu rozgrywa się w 1967 r. Jest to pogrzeb komunisty, który zginął w walce. Rozumiem, że i ten utwór nie ujrzy światła w dzisiejszej Hiszpanii, ale — jak wielu moich towarzyszy — pracuję dla przyszłości, a przyszłość pracuje dla nas. (PAP)



Kopciuszek ku tury?

Ludzi kształcących się w szkołach dziennych i popołudniowych na kursach wszelkiego rodzaju, pogłębiających swoje przygotowanie do pracy zawodowej i społecznej, studiujących zaocznie — są tysiące. Jedną z elementarnych pomocy jest dla nich książka; jest ona więc dla tych ludzi ogromną potrzebą społeczną zaspokajaną przede wszystkim przez biblioteki publiczne. Czy jednak biblioteki zaspokajają tę potrzebę w stopniu zadowalającym?

Temu tematowi poświęcona jest dyskusja, zainicjowana na łamach „Wiadomości” — dodatku do „Faktów i Życia” — wypowiedzią Czesława Kaluźnego, dyrektora Departamentu Pracy Kulturalno-Oświatowej i Bibliotek Ministerstwa Kultury i Sztuki. Autor zajmuje się przede wszystkim sprawą bibliotek gromadzkich i powiatowych. Jedno nie zgodzić się z jego stwierdzeniem, że w większości gromad i powiatowych bibliotek istnieją i działają na peryferiach zainteresowań zwierzchności, a więc rad narodowych:

„Szczególnie irytujące jest zwłaszcza to — pisze Kaluźny — iż w okolicznościach referatów i przemówień wysuwa się zazwyczaj znaczenie wiedzy,

dokształcenia się, podnoszenia kwalifikacji, kształtowania naukowego światopoglądu itp. Na poparcie tego cytuje się rzesze i rzesze tychże bibliotek, księgozbiorów, czytelników. Bo... tak trzeba. Tymczasem większość mówców nie zna adresów bibliotek — nigdy do nich nie zaglądają. Nie dopuszczają się nawet myśli, że wiele owoch „osiągnięć”, to tylko fikcja statystyczna. Brudne, zagrzebione i zimne kłitki, przestarzałe księgozbiory, brak czasopism, niedokształceni pracownicy biblioteczni — wszystko to do kupy zebrane nie stanowi przecież biblioteki WSPÓŁCZESNEJ i nie może być poważnie traktowane jako OGNIWO FRONTU IDEOWO-WYCHOWAWCZEJ DZIAŁALNOŚCI (...). Do stworzenia i rozwoju sieci całkowicie współczesnych ośrodków rozpowszechniania wiedzy o życiu i świecie, placówek dynamicznego upowszechniania oświaty i kultury, czyli bibliotek rzeczywiście zasługujących na to miano, potrzebne jest zrozumienie ich ROLI W ŻYCIU SPOŁECZNYM I STAŁY WYSIŁEK ORGANÓW TERENOWYCH. Najczęściej brak nam jednego i drugiego; a tu trzeba pośpiechu. Trzeba się spieszyć bo życie późnie. Starzeje się wiedza zdobyta w szkole”.

Nie wszędzie jest taka sytuacja, o jakiej pisze powyżej Kaluźny. Autor dostrzega pozytywne przykłady, które dotyczą właśnie województwa poznańskiego. Tu władze terenowe zwróciły większą uwagę na biblioteki już przed 6 laty. W ciągu roku powstało 80 czytelników przy bibliotekach, z czego 74 na wsi, utworzono 43 nowe biblioteki oświatowe, przybyły 354 punkty biblioteczne.

Ale i u nas można by przecież jeszcze niejedno usprawnić niejedną bibliotekę urządzić lepiej. Idzie bowiem nie tylko o to, by polepszać warunki pracy bibliotekarzy i zarazem warunki docierania książki bibliotecznej do czy-

telników, lecz i to, żeby także do bibliotek najniższego szczebla, w tym i do punktów bibliotecznych, docierała książka naukowa, fachowa. Na wsi znajduje się coraz więcej inteligencji, coraz więcej ludzi (w tym rolników) uzupełnia wiedzę. Potrzebna jest im literatura fachowa, nierzadko nauka, która do punktów bibliotecznych na ogół nie dociera. Sytuacji tej nie można utrwać. Słuszny jest wniosek Wojciecha Janakowskiego („Tygodnik Kulturalny” — artykuł „Punkt w sieci”), o szybkie porządkowanie i usprawnianie funkcjonalności placówek bibliotecznych na wsi, i w małych miasteczkach.

Pracy w tym zakresie — jak pisze w „Współczesności” Czesław Koziol — jest sporo.

Są jeszcze w bibliotekach tysiące książek, na stronach których nie spożyło oko czytelnika, bo umieszczono je tam, gdzie nie są potrzebne. Dość często dostęp czytelników utrudniony jest brakiem informacji o zbiorach lub rygorami ograniczającymi korzystanie ze zbiorów.

W tej dziedzinie usprawnienia pojedynczych bibliotek niczego nie rozwiążą. Konieczna jest powszechna ogólnokrajowa współpraca bibliotek w planowym gromadzeniu literatury. Współpracy w planowaniu zakupów towarzyszyć powinna międzybiblioteczna wymiana części posiadanych już zasobów — przekazywanie zbędnych lub mało — przydatnych druków bibliotekom, gdzie są one potrzebne w zastrzeżeniu pierwszeństwa otrzymania druku w bibliotece, której specjalność zbiorów uprawnia ją do tego.

Pewnym rozwiązaniem jest powstanie pierwszych składnic druków rzadko używanych. Jest to jeszcze nowość, zaczętek takiej składnicy bibliotek powszechnych powstał m. in. w Wielkopolsce. Taka współpraca potrzebna jest jednak także bibliotekom naukowym i fachowym. Ich zbiory najszybciej się bowiem starzeją wskutek tempa przemian w technice współczesnej.

Oto jakże wiele spraw czekających na rozwiązanie, na szybkie działanie. Chodził przede o to, żeby przeciwdziałać wtórnemu analfabetyzmowi tych, którzy nie kultywują przez lekturę nabytej w szkole wiedzy.

*

Poza tym w „Polityce” Mieczysław F. Rakowski publikuje obszerny szkic zatytułowany „Przed spotkaniem w Budapeszcie”, poświęcony jednemu z kierunków politycznej w skali międzynarodowej; poszczególne etapy historycznego rozwoju międzynarodowej jednolitości klasy robotniczej autor określa następująco (wymieniamy skrótowo tytuły publikacji): I Międzynarodówka — przygotowanie do natarcia; II Międzynarodówka — kierunek: masowość; III Międzynarodówka — kierunek: zdobycie władzy; Biuro Informacyjne; Dążenie do jednolitości; Jedność mimo różnic. Na łamach „Kultury” recenzenci filmowi przedstawiają młode kinematografie socjalistyczne: czeska, bułgarska, węgierska i jugosłowiańska. W tymże tygodniku Jan Dźiedzic i Tadeusz Wałehnowski (autor bestsellera „Izrael-NRF”) rozpoczynają publikację fragmentów przygotowywanej do druku przez wydawnictwo Słaska i Wiedza pracy, która ukaże się pt. „Wokół agresji Izraela”: tytuł pierwszego odcinka „Przed nami jeszcze jedna bitwa...”

LEKTOR